

WSTĘP

Zwykła domowa kuchnia. Zanim pojawi się Karolina, bohaterka monodramu, rozlega się utwór M. Peszek zatytułowany *Maria awaria*. Dopiero gdy cały wybrzmiewa, wchodzi aktorka. W ręce trzyma coś na kształt zeszytu, który kładzie na stole. Jako że miejsce akcji to pomieszczenie kuchenne, więc aktorka może wykonywać takie czynności, jak robienie sobie herbaty, kawy, odłożenie kubka do zlewu itd., itp.

Karolina: Kiedy to się pojawia? Oczywiście przeważnie w ciągu dnia. Ale i w nocy też się zdarza. Najpierw jest taki nerwowy rwany oddech. Krótki. Wtedy coś zaczyna się w człowieku kotłować, walczyć we mnie. Ale i ze mną też. Nie mogę sobie wówczas znaleźć miejsca. Zaczynam płakać. Ale łzy nie pomagają, nie przynoszą ulgi. W końcu dociera do mnie, że muszę coś zrobić. Więc szukam czegoś na tyle ostrego, żeby jednym mocnym pociągnięciem przeciąć ten nieznośny niepokój. I gdy znajduję, robię to i... ulga. Czuję, jak spływa na mnie coś niewymownie błogiego i obezwładniającego. W końcu uwalniam się od tego stanu nieopanowanej emocji. Gdy pojawia się krew wszystko odchodzi. Nic nie jest ważne. Czuję tylko ból i ciepło krwi, a w głowie wytwarza się jakby jakaś przestrzeń, bez wspomnień i znaczeń. Ale mimo tego bólu czuję zadowolenie i dziwny spokój, ulgę i błogą przyjemność. Doznaję czegoś na kształt – powiedziałabym – ziemskiego rajy, który naznacza mnie po każdej takiej wizycie kolejnym sznytem, kolejną świeżą blizną. A mam je wszędzie: na rękach, nogach, brzuchu, podbrzuszu, nawet – o, tutaj, na biodrach. Zapewne wydaje wam się to dziwne? Okropne? Nie akceptowalne? Być może tak jest. Ale jak się nienawidzi

siebie, swojego ciała, to każda autoagresja jest wytłumaczalna i jak najbardziej akceptowalna. Wszystko jest zrozumiałe. Przez takich jak ja, naturalnie. Przez takich...

Wiem, myślicie o tym z odrazą, widzę to. I macie rację. Tutaj jesteśmy do siebie podobni. Bo wy czujecie do tego taką samą niechęć, jak ja do swojego ciała. Dlaczego ją czuję? Różnie. Myślę, że nie ma jednej konkretnej przyczyny. To wypadkowa wielu elementów. Na przykład wygórowane aspiracje rodziców w odniesieniu do mojej osoby. Taka, rozumiecie, próba zaspokojenia własnych niezrealizowanych ambicji. I tak wysoko ustawiają tę pieprzoną poprzeczkę, że w końcu dociera do ciebie, że nie podołasz. I wtedy zaczynasz się bać, że rozczarujesz, że się nie sprawdzisz. Wtedy zaczynasz fiksować. Pojawiają się jakieś pieprzone bóle głowy, tak upierdliwe, że aż rzygać ci się chce. I wtedy, żeby się go pozbyć, sięgasz najpierw po jakiegoś procha, potem następnego i gdy sytuacja się powtarza, to już wiesz, co ci może pomóc. Tak się zaczyna. To znaczy tak zaczyna się uzależnienie. Od czegokolwiek. Bo gdy organizm przestaje już reagować na prochy wiesz, że musisz wykołować coś silniejszego. Wówczas zaczyna się tak zwana jazda bez trzymanki.

Pauza.

Muszę się napić. Od tego gadania zaschło mi w gardle. (Wstaje, podchodzi do blatu na którym znajduje się czajnik elektryczny, nastawia go, a następnie zdejmuje szklankę z suszarki.)

Od zawsze, od kiedy tylko pamiętam, wszystko miałam – musiałam! – mieć najlepsze. A że to była taka

transakcja wiązana – coś za coś, więc i ja musiałam być też najlepsza. Angielski? – Proszę bardzo. Tenis? – Oczywiście. Do tego przydałaby się przecież jakaś muzyka. Więc jakiś instrument. Gitara? Nie, to takie plebejskie. Najlepiej skrzypce – to taki ładny i dostojny instrument przecież, nieprawdaż? Ale gdybyś chciała jednak nagle go zmienić, to nic z tego. Już nie można. Za późno. Bo jak się coś zaczyna, to należy kontynuować. Do finalnego zakończenia! Nie wolno, ot tak sobie, rzucać czegoś tylko dlatego, że coś przestało nas nagle kręcić. W ten sposób, poprzez zbyt częste zmiany, do niczego się nie dochodzi. Wykazuje się tym jedynie emocjonalną chwiejność charakteru. Dlatego przede wszystkim należy być konsekwentnym! Jak tatuś. (Woda się gotuje, więc Karolina robi sobie kawę rozpuszczalną, a następnie zabiera ją i wraca na zajmowane wcześniej miejsce na krześle. Będzie ją popijać w trakcie swojego dalszego monologu.) Więc brnęłam w to, przy jego wydatnej pomocy naturalnie, jak w jakimś amoku, z opaską na oczach, z coraz większym napięciem wewnątrz, z coraz bardziej narastającym strachem, że sobie nie poradzę, że zawiodę! A jak jeszcze na dodatek na moich 14-tych urodzinach ojciec spojrzał na mnie z takim grymasem na twarzy i jakby z obrzydzeniem powiedział, że powinnam chyba zacząć coś ćwiczyć, bo robię się kluskowata, to tak się przeraziłam, że zaraz będę takim wielkim monstrem, ciężkim i flegmatycznym babiszonem, że musiałam temu jakoś przeciwdziałać. I przeciwdziałalam. Natychmiast! Dlatego postanowiłam zapanować nad swoim ciałem. Stąd zrodził się codzienny, niemal rytualny pomiar moich gabarytów. Brałam centymetr i po kolei zaczynałam odmierzać. Najpierw uda, biodra, potem pas, następnie piersi. Można by powiedzieć, że był to czas realizacji przeze

mnie boskiej idei zwycięstwa samodyscypliny nad ciałem, nad jego fizycznością. Ukochana córeczka tatusia nie może przecież zawieść! Ważne, żeby tatuś był zadowolony! No i był. Przynajmniej przez jakiś czas. Do kolejnego wyrzutu, że jednak nie wrodziłam się w niego, że jednak odstaję. Niemniej przez dłuższy czas dawałam radę. Centymetr ani drgnął w moich pomiarach! Dlaczego? To proste. Początkowo ograniczałam jedzenie. A że jakiś czas to trwało, to w końcu zorientowali się po moim wyglądzie i nagłych powtarzających się zasłabnięciach, że coś ze mną jest nie tak. Wtedy pojawiła się diagnoza: anoreksja! To ich trafiło. Chociaż tak naprawdę, to nigdy się z tą diagnozą nie pogodzili i jej nie zaakceptowali. Niemniej trochę ich ona przeraziła, czy raczej bardziej zaszokowała. Może nawet nie dlatego, że coś mi było, ale w ogóle, że – co powiedzą inni: sąsiedzi, znajomi, przyjaciele. Jaki będzie nasz wizerunek? Jak będziemy wyglądali? Jak dalej funkcjonowali?! To było ważne, nie ja i mój problem. Niczego im mój stan nie uzmysłowił. Zupełnie. Zero refleksji. Nic się nie dzieje. Po prostu dorastam. Jestem w takim wieku, że bunt jest rzeczą normalną. Dlatego to przejdzie, wyrosnę z tego. Jak z młodzieńczego trądziku. Potrzeba tylko czasu. Tak uważali. Wynik tego był taki, że zapisali mnie na terapię antyanoreksyjną. I znowu zaczęłam jeść! Dzielna dziewczynka. Jadłam, co mi podano. Pilnowali zresztą żebym jadła. Dlatego wyglądało na to, że wszystko jakby wróciło do normy. Ale tylko pozornie. Bo zaraz po jedzeniu pędziłam do łazienki i – dwa palce do gardła i rzyg. Albo picie wody bez opamiętania, aż w końcu wszystko zwracałam. Żeby nie było słychać, odkręcałam wodę i napełniałam nią wannę. Niby do kąpieli. Dla zwiększenia efektu spuszczałam dodatkowo wodę w kiblu i kamuflaż się

udawał. Wkrótce jednak okazało się, że już nie tylko mężczyźnie anoreksja, ale dołączyła do niej solidarnie jej siostra bulimia. Nic dziwnego, w końcu nieszczęścia chodzą parami. Od tego momentu jadłam i rzygałam, rzygałam i jadłam, i tak w kółko. Przez trzy lata. Aż w końcu któregoś dnia, po jednej z tych okropnych awantur między rodzicami, odkryłam swoją ziemię obiecaną – swój raj na ziemi: okaleczyłam się. Najpierw zaczęłam robić sobie tylko niewielkie dziury w ciele agrafką, zapinką do bandaża, wszystkim, co było na tyle ostre, żeby zadać sobie ból. Aż w końcu dotarłam do prostego, ale genialnego narzędzia – żyletki! Odtąd zawsze miałam ją przy sobie. Była oddaną i w każdym momencie uczynną przyjaciółką. Leżała sobie spokojnie w telefonie komórkowym nad baterią. W miarę upływu czasu wynajdywałam takie formy zadawania sobie bólu, że po roku miałam już tak serdecznie dosyć życia, że pragnęłam tylko jednego: zabić się. Nie istnieć, po prostu skończyć z tym! Biorąc jednak pod uwagę mój wiek, to pragnienie śmierci było nie tylko głupie, ale wręcz chore. Zresztą, ja w tamtym czasie cała byłam chora. Tuż przed moim pierwszym okaleczeniem byłam... Ale od początku.

Były wakacje, a że do wyjazdu z rodzicami było trochę czasu, więc postanowiłam pojechać do rodziny w góry. Zawsze lubiłam tam jeździć. Tym razem jednak miało być inaczej, wszystko się nagle zmieniło.

Któregoś dnia bawiliśmy się w knajpie: ja, moja siostra cioteczna, jej brat i jej chłopak. Opijaliśmy moją osiemnastkę. I naprawdę było świetnie. Po jakimś czasie do naszego stolika przysiadło się trzech starszych facetów z dziewczyną. Impreza się rozkręcała w miarę wypijanego piwa, a ja w pewnym momencie przestałam się kontrolować.

Moja kuzynka z chłopakami chcieli już iść, ale ja się uparłam że zostają i żeby się o mnie nie martwili. Żadne ich prośby i namowy nie skutkowały. Więc w końcu zostawili mnie i poszli. Naiwnie myślałam, że przecież nic złego nie może mi się stać. Jestem dorosła, jesteśmy w lokalu, w miejscu publicznym, więc... Jednego nie przewidziałam. W pewnym momencie jeden z tych trzech mężczyzn zaproponował, żeby się przenieść do jego mieszkania. Na miejscu dotarło do mnie, w co się wpieprzyłam i że za chwilę stanie się coś, przed czym zawsze mnie ostrzegano, a co do tego momentu znałam tylko z gazet czy telewizji. Na wycofanie się było jednak stanowczo za późno. A że panicznie bałam się bólu i tego, żeby nic mi nie zrobili, co by było widoczne na zewnątrz, więc się nie sprzeciwiałam. Nie tylko wykonywałam co chcieli, ale byłam też w pewien sposób aktywna. Alkohol zresztą w tym mi pomógł. Tak samo zresztą, jak i ta dziewczyna z nimi. Ona też w tym uczestniczyła. Gdy wróciłam do domu, weszłam do wanny i siedziałam w niej – wydawało mi się – całą wieczność. Nie chciałam z niej wyjść. Myślałam, że w ten sposób zmyję z siebie to, co mnie spotkało. Cały ten brud. Czułam się zbrukana, potwornie nieczysta. Trzęsłam się jak jakaś osika. A potem... potem o tym nie pamiętałam. Wyparłam z pamięci. Myślałam, że na zawsze. Ale to było tylko złudzenie. Bo to zawsze było we mnie. Tkwiło niczym cierń. Tyle że pod skórą. Tuż pod jej powierzchnią. Niewidoczne dla nikogo. Dopiero jednak na ostatniej terapii psycholożka uświadomiła mi to i związek pomiędzy tym, co się wtedy stało, a moją autoagresją. Uświadomiła mi, że to jeden z tych najważniejszych elementów, który popchnął mnie do samookaleczeń. I gdy tak teraz o tym myślę, to mam w zasadzie pewność, że tak było. Wówczas jednak nie

widziałam, czy też nie chciałam widzieć żadnego związku z tym, co sobie robiłam. Wtedy myślałam tylko o jednym – o śmierci. Bo życie było dla mnie tylko i wyłącznie koszmarną walką z bólem. Walką, niestety, przegrywaną. Więc pragnienie śmierci w takich okolicznościach było w zasadzie zupełnie czymś normalnym. Bo to tak, jakby być ustawicznie poddawany nigdy nie kończącym się torturom. W końcu na skutek bólu dochodzi się do takiego momentu, w którym uświadamiamy sobie, że jedynym wyjściem z tej matni i bólu jest właśnie śmierć. Tylko ona jest w stanie nas od tego uwolnić raz na zawsze. I stąd jej pragnienie.

Wydaje wam się pewnie dziwaczne takie gadanie o śmierci. Szczególnie w moim wieku, gdy nic jeszcze nie przeżyłam. Ale prawda jest taka, że jak się siebie nienawidzi, nie akceptuje, to pragnienie śmierci nie jest takie znowu głupie i niewytłumaczalne. Żeby to jednak zrozumieć, trzeba tego dotknąć, przejść przez to. Niemniej właśnie wtedy dotarło do mnie, że tak naprawdę, to ja jestem jeszcze bardzo młoda i właściwie to chciałabym jednak żyć, bo kocham to życie! Jakie by ono nie było, nawet tak ułomne, to pragnę je przeżyć. Lepiej czy gorzej, ale chciałabym je mieć. Doświadczyć go! Uświadomiłam to sobie w sposób cholernie jaskrawy wówczas, gdy taka moja internetowa przyjaciółka od okaleczeń, której nigdy nie widziałam ale o której – myślałam – że wiem wszystko, nagle odeszła. Wtedy, przyznam się wam, przeraziłam się naprawdę. Uświadomiłam sobie po jak bardzo cienkiej linie się poruszam. Chociaż to jeszcze w niczym nie zmieniło mojego stosunku do okaleczania się, nie zmniejszyło we mnie pragnienia autoagresji. Bo czym innym jest świadomość tego, co sobie robimy, a czymś zupełnie odmiennym chęć zaprzestania tego chorego unicestwiania siebie dzień po

dniu. To są dwie różne rzeczy. Jakby dwa odmienne stany świadomości. Taki, kurwa, pieprzony dr Jekyll i nie mniej posrany Mr Hyde! (Pauza.) Sorry, ale ilekroć o tym myślę, to zawsze mnie roznosi, zawsze działa pobudzająco, cholera!...

Opowiem wam o jednym takim zdarzeniu. Pewnego dnia zrobiłam sobie – o, takim zwykłym scyzorykiem (wyjmuje go z jakiegoś dowolnego miejsca), dziurę w nodze. I tak długo w niej nim dłubałam, aż w końcu dotarłam do kości. Gdy któregoś dnia mama ją zauważyła, bo rana zaczęła się potwornie ślimaczyć, to stać ją było jedynie na przytulenie mnie i łzy. Ale na rozmowę, szczerą, próbującą coś wyjaśnić, pomóc, już nie potrafiła się zdobyć. Nie znalazła w sobie na tyle sił i determinacji, żeby mi pomóc. Jakby problem, o którym się nie rozmawia, nie porusza, zupełnie nie istniał! Takie świadome zagłuszanie swojego sumienia. Wyrzucenie ze swojej świadomości tego, że z własnym dzieckiem może być coś nie tak. Odrzucenie tego, jako czegoś obcego, złego i nie dotyczącego nas i w ogóle rodziny! Jak kiedyś jej przyjaciółka powiedziała: „Coś źle wyglądasz, Karolinko. Czy nie powinnaś czasem się zbadać?”, to matka tak się przejęła że „to” mogłoby się wydać, że natychmiast zareagowała, mówiąc, że byłam potwornie przeziębiona i w ogóle jestem osłabiona po tej przedłużającej się infekcji. Pieprzona społeczna poprawność! (Pauza.) Co ojciec na to? Nic. To czołg. A czołg, jak jedzie, nie widzi co niszczy. Tak samo było z nim. Ważne były sukcesy. Zawsze. Od porażek są inni. Na pewno nie on, ani jego najbliżsi. Zakłamany sukinsyn! Jak ja go wtedy nienawidziłam! Pieprzony egocentryk. Nie przyjmował tego do swojej świadomości. Bo to, oczywiście, mogło się wszędzie wydarzyć, tylko nie u nas, nie w naszym domu.

Bronił się przed tym, jak co najmniej przed trędem. I to ja, jego ukochana córeczka byłam tą trędowatą! Tego przyjąć nie mógł, a co dopiero pogodzić się z tym. Więc trwaliśmy tak w tym klinchu – ja w swoim świecie, coraz bardziej samotna i pogrążająca się z każdym dniem coraz skuteczniej w swoim uzależnieniu, a oni w swoim świecie – głusi i ślepi na wszystko co było złe, a wiązało się ze mną. Jak kiedyś w końcu dzięki terapii udało się coś zrobić z anoreksją, a na jej miejsce pojawiła się bulimia, to ojciec skwitował to ze zwykłą dla siebie elokwencją krótko: – Bulimia? Pieprzenie rozpieszczonych pensjonarek! Każdy, jak się przeje, to rzyga. Ja również. Jak mu matka powiedziała, że nikt zdrowy nie przejada się codziennie i nie rzyga kilka razy na dzień, to odparł, żeby tyle nie jeść. Dla niego nie było problemu. Uważał, że ta cała bulimia, to wynalazek panienek z dobrych domów i tyle. Nie przyjął, że obie te rzeczy, to wynik presji, jakiej poddawał mnie od najmłodszych lat. Bronił się. Dlatego terapia, jak się można było spodziewać, nie pomogła. To znaczy trochę tak, ale zaraz wróciło stare, przemożne pragnienie zadania sobie bólu. Teraz jednak byłam bardziej czujna. Panowałam nad sytuacją na tyle, żeby ukryć autoagresję przed innymi. Jak? Bardzo prosto. Gdy akurat, na przykład, znajdowałam się w większym gronie i nagle pojawiała się pragnienie zadania sobie bólu, to jak gdyby nigdy nic zapalałam papierosa i... po chwili gasiłam go pod stolikiem na swoim przegubie. Nic nie mogło mnie powstrzymać przed autodestrukcją. Nic i nikt! Czułam się byle jaka, a właściwie, to czułam się nijaka i zbyteczna. Totalny bezsens, zero czucia jakichkolwiek przejawów życia. Niczego nie czułam – nawet siebie.

Pauza.

Przeczytam wam coś. (Otwiera książkę-zeszyt, którą przyniosła ze sobą.) To coś na kształt mojego pamiętnika. Powiedziałabym *dziennika*, ale to za dużo powiedziane. Pisarze mogliby się jeszcze obruszyć. Pozostanę więc przy pamiętniku...

Niedziela, 08 maj 2011 rok. Żyję. Jeszcze. Ale w niekończącym się nigdy lęku. Nawet teraz, pisząc te słowa, boję się, że wpadnie to w niepowołane ręce, a wtedy... Wtedy nic by nie pomogło. Żadne tłumaczenia. Znowu byłyby wyrzuty, jaka to jestem wyrodna i niegodziwa córka, i jak bardzo ich zawiodłam. A przecież jest tak, że to ja ciągle staram się być taką, jaką chcą mnie widzieć, jaką chcą, żebym była!

Czwartek, 14 lipiec 2011 rok. Czasami sama nie wiem już kim jestem, totalna schiza. Jakbym miała jakieś rozdwojenie jaźni. Ja – przeżywająca wszystko wewnątrz, do siebie, szczerą w tym wszystkim, co czuję, i ja obca – ta na zewnątrz, starająca się za wszelką cenę zadowolić swoich rodziców i sprostać ich wymaganiom. Nienawidzę tego stanu emocjonalnego rozchwiania! Mimo że przecież nigdy nie skrzywdzili mnie fizycznie, zawsze brakowało mi ich ciepła, akceptacji taką, jaką jestem. Dlatego jest we mnie coś, co nie pozwala mi dzisiaj na otwarcie się przed innymi. Nie tylko przed nimi, ale w ogóle przed ludźmi. Jakby jakaś bardzo mocna, pieprzona blokada tkwiła we mnie! W jej wyniku prawdopodobnie nie potrafię się otworzyć, spontanicznie przytulić do jednego z nich i powiedzieć: „Kocham cię, mamo. Kocham cię, tato”. Ot, tak po prostu. Nie potrafię. (Odkłada zeszyt na bok.)

Pamiętam – kiedyś, nie wiem, czy chcąc się ratować, czy też może bardziej szukając rozgrzeszenia dla tego, co

robię, poszłam do kościoła wyspowiadać się. Gdy w końcu doszłam do tego momentu, w którym miałam o tym powiedzieć, nie wiedząc, nie znajdując odpowiednich słów – bo jakoś nie chciałam, coś mnie powstrzymywało przed nazwaniem tego wprost – powiedziałam, że... że nie postępuję właściwie, że krzywdzę siebie. Ksiądz chyba jednak mnie nie zrozumiał, albo też nie chciał zrozumieć, bo nie drażył tematu, tylko przeszedł do tego, co chyba jego bardziej interesowało. Rzucił, żebym się powstrzymywała przed robieniem tych wszystkich nieprzyzwoitych rzeczy sama albo z chłopakiem, bo jestem jeszcze na „to” za młoda, że na „to” mam jeszcze czas – po ślubie. Gdy poszłam do innego kościoła i innego księdza, sytuacja się powtórzyła. W końcu dałam sobie spokój z tymi nieudanymi pomocnikami Boga na ziemi. Zresztą, na ich usprawiedliwienie działa też choćby przykład domu, gdzie również trudno o pomoc. A i w szkole też nie jest inaczej. Każdy odsuwa problem jak najdalej od siebie. To nas nie dotyczy! Chociaż widzą, co się dzieje. Wystarczy przecież, że piszesz coś na tablicy i luźny rękaw bluzki trochę ci się zsunie, wtedy oczom wszystkich – nauczycieli również, ukazuje się pocięta ręka. Wolą jednak tego nie widzieć. Dlatego uciekają ze wzrokiem, udając, że niczego nie dostrzegli, że nic nienormalnego się nie dzieje. Wszystko w jak najlepszym porządku. A gdyby nawet musieli jakoś zareagować, to powiedzieliby, że jest to tylko i wyłącznie sprawa rodziców. Nam – nauczycielom nic do tego. Pieprzone zakłamanie! Wszędzie! W domu starzy zachowują się podobnie jak nauczyciele. Tak długo odsuwają od siebie problem, do kiedy jest to tylko możliwe. „Nic się przecież nie stało. Przejdzie jej. Prawda że ci przejdzie, kochanie? Wyrośniesz z tego. Wszystko będzie dobrze”. Na tyle ich stać. Problem zamieciony pod dywan

nie istnieje. Nie ma go! (Pauza.) O, mam! (Ponownie sięga po zeszyt-pamiętnik.) To było zaraz po powrocie z wakacji. Posłuchajcie.

Piątek, 02 wrzesień 2011 rok. Dzisiaj mija tydzień od kiedy spóźnia mi się okres. Nie to, żebym się jakoś martwiła. W końcu nie pierwszy raz mi się to przytrafia, ale... trochę ta niepewna sytuacja mnie męczy. Chociaż wiem, że gdybym zaciężyla, to usunę. Nikt nic nie wie, nikt się nie dowie. Cisza w eterze. Jak to mówią – „jak makiem zasiał” ...

Albo to:

Środa, 07 wrzesień 2011 rok. Alarm odwołany! Na szczęście po ciąży ani śladu. Chociaż tak naprawdę jest mi to obojętne. Ani mnie to grzeje, ani ziębi. I tak bym nie urodziła, więc... Chociaż, prawdę mówiąc, to zawsze jakiś spokój...

I jeszcze to – z następnego miesiąca.

Październik – pustka, cisza. Listopad... Pod datą 01 listopad 2011 rok, wtorek, zapisałam: „Czy ja naprawdę jestem niczym? Nic nie znaczę – dla nikogo? Czy ktoś kiedyś zaakceptuje mnie taką, jaką jestem? Czy ja siebie sama zaakceptuję? Czy zaufam komuś kiedykolwiek? Czy kiedykolwiek zaakceptuję i polubię siebie? Czy pozbędę się kiedyś tkwiącego we mnie lęku? Boję się, że nigdy nie założę normalnie funkcjonującej rodziny, że nigdy przed nikim się nie otworzę, że.... że zostanę starą panną...

(Odkłada zeszyt-pamiętnik na bok.)

Musiałam być chyba w jakimś większym niż zwykle dołku. Może to przez trwającą jesień i myśl, że cała zima jeszcze przede mną i... i że nie znajdę w sobie tyle sił, żeby

czegoś głupiego nie zrobić? A może to przez Wszystkich Świętych? Nie wiem. Problem, jak widać, jednak był. Bo ile w końcu można udawać, że nic się nie dzieje? Jak długo można udawać przed samym sobą i okłamywać siebie? Kiedyś w końcu musi przyjść kres, musi się podejść do ściany, za którą nie będzie już nic, a cofnąć się nie będzie można. Może wtedy właśnie do takiej ściany doszłam – nie wiem. Ale jeżeli nawet tak było, to ważne jest, żeby do niej dochodząc, uświadomić sobie jednocześnie sprawę z jej istnienia. Żeby ona nas nie przytłoczyła swoim ogromem, nie zwała się na nas, bo wtedy... wtedy może być za późno na wszystko – na żal, na rozmowę, na przeprosiny. Naprawdę na wszystko. My, na moje szczęście, uniknęliśmy tego, co najgorsze, w odpowiednim momencie. Gdy jeszcze nie było za późno. Ale właściwie tuż przed godziną zero. Zanim jednak doszło do tej mojej próby wygrzebania się z tego bagna samounicestwienia, jak przystało na więźnia własnego bólu, musiałam się jeszcze trochę pomęczyć. Po prostu nie ma lekko. W końcu nic nie boli tak jak życie, prawda? Niemniej właśnie wtedy wydarzyło się coś, co... Ale po kolei.

Więc było tak, że rodzice ulegli ciężkiemu wypadkowi samochodowemu, który, niechcący, mimochodem, tak naprawdę nam chyba pomógł. Wiem że to brzmi trochę dziwacznie, ale tak to widzę z dzisiejszej perspektywy. Oczywiście wypadek sam w sobie nie jest jakoś szczególnie dziwny. Pożądany również nie jest przez nikogo, bo to by było co najmniej chore. Jednak jak już się wydarzył, to okazało się, że jego efekt był jak najbardziej pozytywny. Bo okazało się, że gdy oboje rodzice znaleźli się w szpitalu, to, zapewne mając czas na przemyślenia, refleksję nad tym, co nam się przytrafiło, czego

doświadczyliśmy i dlaczego, postanowili nie tyle może zacząć wszystko od nowa, co spróbować naprawić to, co się jeszcze dało poskładać. Natomiast do mnie nagle dotarło wtedy, jak bardzo jestem sama. To znaczy nie tak całkiem, bo była jeszcze babcia, która zresztą dwa dni później wprowadziła się do nas, niemniej musiałam od teraz bardziej liczyć na siebie. To znaczy od dawna liczyłam tylko na siebie, ale w tej nowej dla mnie sytuacji postanowiłam coś zmienić. To było takie bardziej podświadome niż uświadomione pragnienie odmiany mojego dotychczasowego życia, niż wynik dogłębnego, świadomego przemyślenia. Niemniej zaczęłam od tego, że chodziłam do nich do szpitala codziennie. Były i takie dni, że odwiedzałam ich kilka razy na dzień. Zachowywałam się tak, jakbym to nie ja potrzebowała opieki i miłości, ale właśnie oni. To znaczy oni jej potrzebowali – tej medycznej oczywiście, ja jednak mam na myśli inną opiekę, taką bardziej mentalną, uczuciową. I wiecie, jakkolwiek dziwnie może to zabrzmieć, był to najszcześniejszy okres w moim życiu. Aż w końcu wyszli ze szpitala i... wszystko właściwie wróciło do normy. Żebyście wiedzieli o czym mówię, przytoczę takie zdarzenie.

Pewnego dnia ojciec wiedząc, że miałam w tym czasie egzaminy maturalne, zapytał, jak mi poszło. Ale tak jakby od niechcienia. Jakby był obojętny. Bo tak wypada, a nie dlatego, że to go zainteresowało. Odparłam, że dobrze. Na co on: – Co to znaczy „dobrze”? – Odparłam, że zaliczyłam. Na co on, jak zwykle: – Ale na ile? – Na cztery. – Na cztery? A dlaczego nie na pięć?! – Poczułam się, jakby ktoś dał mi w twarz. Ponownie wszystko wróciło. Znowu to jego niezadowolenie i rozczarowanie moją osobą wyzwoliło we mnie negatywne emocje. Wybiegłam z domu i przez pół

dnia włóczyłam się bez celu po mieście. Gdy wróciłam do domu, ojca i matki nie było. Wiedziałam, co muszę i chcę zrobić. Wolałam już bardziej ten pieprzony ból fizyczny niż to psychiczne zdołowanie. Czułam, że gdyby istniał tylko ten ostatni, to chyba bym zwariowała. Ból fizyczny był moją ucieczką, oazą spokoju, był moim wyzwoleniem od tych psychicznych tortur. I wtedy właśnie wpadłam w trans. To znaczy dałam upust swojej fantazji. Cięłam się wszędzie, jak popadło. Wycinałam całe napisy na podbrzuszu, biodrach, udach, po prostu wszędzie. „Brzydota”, „odrzuć”, „nienawiść” – te wyrazy były moją obsesją. Łazienka po tym Sajgonie wyglądała jakby nieumiejętnie zarzynano tam jakieś zwierzę. Wszędzie krew. Ale ja czułam rozkosz. Wreszcie zeszło ze mnie to pulsujące napięcie, w końcu odreagowałam! Ja, kiedyś naprawdę dumna ze swojego ciała, świadoma jego zalet, wysoka, zgrabna, zawsze uśmiechnięta, stałam się wstrętną poczwarką nienawidzącą siebie, z niezliczoną ilością strupów i niegojących się ran. Mówię wam – ohyda! Ale może tak musiało się stać? Bo właśnie wtedy, po tym ataku, doszło, można powiedzieć, do przełomu. Coś w końcu w ojcu się przełamało. Któregoś dnia przyszedł do mnie do szpitala i, nie wierzyłam własnym oczom, przytulił mnie i po prostu najzwyczajniej się rozpłakał. Po raz pierwszy w życiu widziałam jak płacze. Ten silny mężczyzna, zawsze narzucający większości swoją wolę, okazał się bezradny. Chciałam coś powiedzieć, ale nie mogłam. Płakałam razem z nim. Nie wiem jak długo to trwało, ale gdy w końcu przestaliśmy, powiedział, że mnie przeprasza za to, że był złym ojcem, że zawiódł i że ma nadzieję, że kiedyś mu wybaczę. Mój ojciec, ten pieprzony egoista prosił mnie o przebaczenie! Nie mogłam w to uwierzyć. Ale byłam szczęśliwa. No bo, czy mogło mnie

spotkać coś piękniejszego? I wtedy dotarło do mnie, że z tego wyjdę. Że teraz nie ma już żadnego powodu, żebym siebie nienawidziła i dalej się okaleczała. Musiałam z tego wyjść! A gdy wkrótce, na poszpitalnej terapii poznałam Krzysztofa, który był pracownikiem tego ośrodka, i zakochałam się w nim właściwie od pierwszego spotkania, to nic nie mogło mnie już powstrzymać od wyjścia z tego. Zobaczyłam, że można żyć inaczej – bez bólu. Że warto żyć inaczej! Poza tym miałam już dla kogo żyć, starać się. Kochałam i byłam kochana! Okazało się, że nie ma lepszego lekarstwa na mój ból niż miłość. Krzysztof okazał się fantastycznym facetem. Cholernie opiekuńczym i wyrozumiałym. Rozumiał mój stan, moje nastroje. Powiedziałabym, że mnie w jakiś dziwny sposób czuł, a przez to jakby współodczuwał moje lęki. Bardzo mi pomógł. Gdyby nie on, nie wiem, czy bym z tego wyszła. Oczywiście, chciałam z tym skończyć, ale bez niego mogło być różnie. Na szczęście pojawił się w odpowiednim czasie i miejscu w moim życiu, kiedy wszystko mogło i zaczęło się naprawiać. I gdy się pojawił, dał mi jedną bardzo ważną rzecz, bez której mogłabym sobie nie poradzić: poczucie bliskości drugiej osoby. To cholernie ważne, żeby wtedy ktoś obok nas był. Potrzebujemy tego najbardziej ze wszystkiego na świecie. Bo gdy się już był, dotarło w końcu do mnie, że tak naprawdę o nic już nie muszę zabiegać, walczyć. Że miłość rodziców nie jest mi do niczego potrzebna. Oczywiście, dobrze by było, gdyby ona była, gdyby mnie kochali, gdybym była ich cholerną córeczką! Ale nic na siłę. Ważne, że mam obok siebie Krzysztofa i wiem, jestem tego pewna, że on mnie kocha. Ta miłość mi wystarcza. Za wszystko. Bo on jest wszystkim!

Dlatego gdy byłam już pewna jego miłości, a swojej do niego, postanowiłam w końcu podjąć pewne nieodzowne decyzje. Pierwszą z nich była wyprowadzka od rodziców i zamieszkanie z Krzysztofem. Mieszkamy razem i póki co świetnie się dogadujemy i jest nam dobrze. (Pociąga łyk kawy.) Z każdym dniem okazuje się, jak wiele rzeczy nas łączy. Poza tym lubię jego obecność, jego ciepło – czuję się wtedy bezpieczna. Nareszcie bezpieczna! Nie próbująca uciekać w świat unicestwiania siebie za wszelką cenę. (Pociąga kolejny łyk kawy.) Nie uwierzycie, ale nawet jak piję kawę bez niego, to mam wrażenie, że go zdradzam. Poza tym gdy ją piję, to ona inaczej smakuje – znacznie gorzej. I żeby nie wiem, ile ją posłodziła, to zawsze czuję jej gorycz. (Robi jeszcze jedno łyk kawy, po czym wstaje, wylewa resztę kawy i umieszcza filiżankę w zlewozmywaku.) Nie lubię jej pić bez niego.

07 lipiec 2012 rok. Dziwne, aż boję się użyć tego słowa, ale jestem szczęśliwa! Jestem z kimś, kto mnie kocha i kogo ja kocham, kto mnie pragnie, wspiera, opiekuje się mną... Boję się, że to sen i że on się wkrótce skończy. Bo nie zasłużyłam sobie na to. Krzysztof mówi, że na miłość się nie zasługuje. Miłość po prostu jest, tak jak jest obiekt miłości. I tyle. Kocha mnie, bo jestem. I właśnie taką, jaką jestem.

Tak, to prawda, jestem szczęśliwa! Ostatnio coraz częściej zastanawiam się nawet, czy nie zacząć studiów. Oczywiście psychologicznych. Myślę, że byłabym lepsza od tych wszystkich pind-psycholożek, których wiedza właściwie sprowadza się jedynie do tego, co można wyczytać w tak zwanej literaturze fachowej. Ja doświadczyłam czegoś na sobie, niejako przetestowałam empirycznie, więc mam nad nimi jakąś przewagę. Wiem o

czym mówię! Dzięki temu, mam wrażenie, wiem więcej, rozumiem więcej. Brakuje mi tylko papierów do tego i może technicznego podejścia do tematu. Stąd pomysł na studia. Ale zobaczymy, co z tego wyjdzie. Przyszłość pokaże. Naturalnie przyszłość z Krzysztofem.

Oczywiście przyszedłby tutaj, ale teraz śpi. Dlatego mogłam tutaj przyjść i wam to wszystko opowiedzieć. Może powinnam go obudzić, żeby słyszał jak bardzo go kocham, jak wiele mu zawdzięczam i... i jak bardzo jest dla mnie ważny, ale niech lepiej wypocznie. Wczoraj miał bardzo ciężki dzień. On i tak dobrze wie, że jest najważniejszy w tym moim pokręconym, krótkim życiu. Gdybym była piosenkarką, wyśpiewałabym mu całą moją miłość. A tak muszę się posiłkować kimś innym. Chyba najgłębiej, w najbardziej prawdziwy sposób wyraża to, co czuję do niego, Marysia Peszek. Zresztą puszcza wam.

Wstaje, podchodzi do blatu, na którym stoi wieża stereofoniczna; wybiera jakąś płytę, włącza, a po chwili rozlega się utwór Marii Peszek, zatytułowany *Superglue*, który zaczyna śpiewać razem z piosenkarką.

Rozpadam się na kawałki, kłębki, strzępki, niedopalki, ty mnie zbierasz i z powrotem sklejasz. Hej, hej, lala, hej, hej, tyś mój klej. Superglue, ajlowiu. Ty mi mleko przynosisz do łóżka. Jesteś moja na bezsenność wróżka, ty mnie zbierasz i z powrotem sklejasz, hej, hej, lala, hej, hej, tyś mój klej, superglue, ajlowiu... (Wyciszenie muzyki.)

Po chwili.

Jakby była mną. Jakby przeszła tę samą drogę. I jak trafia w punkt. Centralnie! Świetna. Po prostu doskonała!

Pauza.

Aha, jest jeszcze coś, co muszę dodać do tej historii. Nie wiem, co mi się stało i dlaczego, ale jakiś czas temu, no, dokładnie przedwczoraj, dokonałam takiego niedużego samookaleczenia. Ostatniego. Bardziej rytualnego, jakby kończącego pasmo wszystkich poprzednich. To było takie moje symboliczne zakończenie związku, czy może bardziej pewnego rodzaju specyficznej przyjaźni, z żyletką. Potem przełamalam ją na pół i wyrzuciłam do kosza. Dzisiaj wiem, że jestem od tego wolna. Chociaż strach zapewne zawsze będzie mi towarzyszył. Zawsze gdzieś tam w głowie będzie siedział przyczajony i tylko czekał na odpowiednią chwilę, żeby z całą bezwzględnością zaatakować. Ale jeżeli nawet kiedyś to zrobi – zaatakuje, to ja się nie dam. Dzisiaj mam dwadzieścia jeden lat i jestem o wiele silniejsza niż dawniej. Dziś tak łatwo się nie poddam. Nikomu. I niczemu. Dziś wiem, gdzie tkwi niebezpieczeństwo. Poza tym mam dla kogo żyć. Mam dla kogo się spełniać jako kobieta. A może i jako matka. Chciałabym.

Następuje podgłoszenie utworu M. Peszek i trwa on aż do swego wybrzmienia. W międzyczasie Karolina otwiera pamiętnik, bierze długopis i po chwili namysłu zaczyna pisać.

29.07.2011 r.